

1.

Pisze się *Bajagaa*, ale wymawia *bajga*, co poszukującemu niezwykłości tu, w centralnej Jakucji, między Leną a Kołymą, zdaje się obiecywać, że czeka na niego jakaś bajkowa tajga. Ale wieś o tej nazwie otoczona jest lasem wyjątkowo marnym – drzewa tylko w teorii są tu iglaste, bo ze wszystkiego, co zielone, objadł je doszczętnie jakiś przedziorek, zostawiając zszarzałe kikuty, tworzące teraz tło dla równie mało atrakcyjnych gospodarstw. Krzywe płoty, zabałaganione obejścia, walające się żelastwo – nic to nowego w tej części świata. Zresztą, nie ma co przyganiać akurat Syberii, przecież w trakcie niejednej wyprawy czy podróży nie sposób odgonić od siebie przykrej konstatacji, że procent powierzchni Ziemi zamieszkałej przez człowieka, a nieoszczędzonej przezeń bylejąkością, jest naprawdę znikomy. I że tak mało przeczytamy u współczesnych antropologów o tym, co uderza natychmiast po przybyciu w obce kraje i co tak męczy przez cały czas kontaktu z tamtejszymi realiami – o szpetocie świata, o zapuszczeniu i niedbalstwie. Komu przeszkadza brzydota, brud i bieda, niech sobie jeździ do Szwajcarii – zdają się mówić autorzy, przechodząc gładko ponad takimi niepoprawnymi konstatacjami.

Zresztą tu, w Bajdze, same budynki aż tak nie rażą. Owszem, są dość nijakie, wedle jeszcze ogólnoradzieckiego wzoru, pozbawione jakichkolwiek cech lokalnych, ale porządne, ciepłe, a domostwo Mandara jest w środku zaskakująco dopracowane, ujemne. Bo i gospodarz to nie byle kto.

2.

Dylemat badacza-terenowca: czy swoją etnografię budować na podstawie obserwacji zwykłych ludzi i ich typowych, przeciętne wypowiedzi, tak by uzyskany wizerunek był reprezentatywny dla statystycznej średniej, czy raczej szukać tych, którzy wyróżnią się oryginalnością i wzbogacą obraz o treści głębsze, niebanalne. Można wprawdzie przekonywać, że na tym polega kunszt badacza, by umieć – wzorem dobrego reportera – dostrzec prawdziwą wartość w tym, co mają do powiedzenia *hoi polloi*, że nie trzeba z tym czekać na spotkanie z człowiekiem niezwykłym. Tyle tylko, że i tak powstają z tego zupełnie różne etnografie: w najgorszym razie wybór jest między nudą reprezentatywności albo ekscytacją dziwowskim.

Warto byłoby policzyć i wymienić wszystkich takich wyróżniających się tubylców, przedstawionych indywidualnie na kartach monografii i opracowań, utrwalonych z imienia przez etnologów. Ująć ich w jakiś słownik biograficzny. Przyjrzyć się temu, co sprawiło, że weszli na owe stronicę – ich wiedza, charakter, przydatność dla badacza. Obnażyć klisze, którymi posługiwano się przy ich portretowaniu.

Najtrwalszy z tych schematów to oczywiście „człowiek natury”, „dobry dziki”. Najwięcej go w literaturze

Etnolog w podróży (8)

JERZY S. WASILEWSKI

Mandar, człowiek niezwykły

pięknej, gdzie co lotniejsze autorskie pióra umiały stworzyć iście archetypalne wizerunki. Pozostając w syberyjskich klimatach, przypomnę tylko owego starego myśliwego, człowieka tajgi, Golda (Nanajca) znad Amuru imieniem Dersu Uzała, sportretowanego ujmująco przez Władimira Arseniewa, a potem perfekcyjnie odegranego w filmie Akira Kurosawy przez Maksyma Munzuka, skądinąd pochodzącego z drugiego końca Syberii, bo z Tuwy, słynnego tam aktora.

Szczęśliwy, kto doświadczył etnograficznego spotkania z jakimś rzeczywistym człowiekiem, inkarnującym w sobie taki archetyp. Torgucki barwny starzec, którego samo imię, Kokun Dżaw, do dziś pobrzmiwa mi środkowoazjatycką egzotyką. Mam go w oczach, wymachującego wymaginowaną szablą i opowiadającego *Dżangariadę* – epickie perypetie przodków, Kałmyków, walczących na szlakach między dżungarskimi stepami a nadwołżańską siedzibą; chyba to nawet dobrze, że ich nie recytował, bo to załatywałoby już domem kultury. Albo niezapamiętany z imienia myśliwy z pogranicza stepu i tajgi, którego domostwo – surowa budka z bali, obwieszona w środku pękami ziół, skórami i rogami, ale w taki naturalny, niczego nieudający sposób, że każdym szczegółem mogłaby przekonująco zagrać u Kurosawy – pamiętam, jak przechwalał się, że nawet wielkiemu Bjambynowi Rinczenowi nie zdradził żadnego z sekretów swojej magii. Takie *meetings with remarkable men* (może nie aż z takimi pretensjami uduchowienia, jak u Petera Brooka) tkwią w pamięci, wyłaniając się czasem z zapadłych po latach w niebyt odmętów terenowej żmudy.

Ale przecież gros konkretnych etnograficznych ustaleń bierze się ze spotkań z ludźmi zupełnie zwyczajnymi. Jacek Olędzki, z całym szacunkiem traktujący swoich murzynowiaków, przywołał gdzieś miejscowe określenie na postaci mniejszego kalibru, takie ludzkie płotki: idąc za prześmiewczymi przezwiskami, nadawanymi tym nadwiślańskim rybakom przez sąsiadów, nazwał ich Kielbikami i Uklejkami.

Nasz Mandar, człowiek już pod siedemdziesiątkę, choć postury nieznacznej, cichy i skromny, Kielbikiem ani Uklejką nie jest. Jest kowalem, a w kulturze



Mandar, fot. Jerzy S. Wasilewski.

Jakutów – nie było na Syberii innej grupy o tak rozwiniętym kowalstwie – to funkcja tradycyjnie poważana, i to nie tylko przez wzgląd na wiedzę i przydatność, ale i na wymagane walory duchowe. Zawód ten był przyrównywany do szamańskiego powołania („kował i szaman z jednego gniazda” – mówi przysłowie), to od klasy kowala zależała skuteczność wykonanych przezeń szamańskich akcesoriów, siedmiopokoleniowa dziedziczność tej funkcji dawała poczucie uczestniczenia w odwiecznej, wielopokoleniowej mądrości.

Specjalnością Mandara nie są już oczywiście szamańskie parafernalia, ale unikalne noże myśliwskie; w ich wykonawstwie jego indywidualny perfekcjonizm nakłada się na geniusz kultury, która wypracowała wzorzec narzędzia idealnie dopasowanego do tutejszych potrzeb i wymogów. Z trzech składowych takiego noża najpierw rzuca się w oczy rękojeść. Mandar wykonuje ją z drewna brzoźowego, a dokładnie z tzw. *kapu*, czyli syberyjskiej odmiany czeczoty; korzenie niektórych brzoź, rosnących w miejscach,

gdzie wieczna zmarzlina podchodzi pod powierzchnię ziemi, zrastają się w wielką, zbitą bulę. W trakcie swych długich samotnych wędrówek po tajdze wprawnym okiem wypatrzy taką sztukę (mówi, że ledwie jedno na tysiąc drzew ma *kap*), by po ścięciu i wykarczowaniu załadować ją na traktor, przez rok lub dwa suszyć i odpowiednio przygotowywać, tak by nabrała świetlistości żółtego koloru. Potem wyrzeźbi z tego niejedną rękojeść, prostą w kształcie, o złotawomiodowym odcieniu pięknie poskręcanych słojów. Jej podstawową zaletą będzie to, że myśliwy może ją trzymać w gołej dłoni nawet zimą, gdy temperatura dochodzi do minus sześćdziesięciu stopni; każda inna, zwłaszcza plastikowy uchwyt fabrycznie wykonanego noża, wprost parzy wtedy ręce, a tu trzeba precyzyjnie zedrzeć cenną skórę z sobola czy gronostaja.

Teraz ostrze. Mandar przekuwa po wielokroć jakiś stary, złamany pilnik albo inny płaskownik ze złomu, ze szczególną uwagą i wyczuciem czasu dokonując hartowania stali i jej odpuszczania, bo te czynności wymagają, jak mówi, dokładności do pół sekundy. Wyobrażam sobie, jaką minę miał kiedyś jego kanadyjski gość, kiedy on wprost ostrugał nożem swojego wyrobu ostrze jego amerykańskiego, profesjonalnego noża myśliwskiego.

Do kompletu Mandar robi jeszcze pochwę z krowiego rogu, który trzeba gotować, a potem szlifować tak długo, aż zmięknie, tak że da się wyprostować i uformować w mocny futerał; nawet uderzony, nie wyda on odgłosu, co istotne, bo to przecież zdradziłoby myśliwego. Delikatna szara barwa i aksamitna faktura skutecznie ukrywają przed okiem niewprawnego widza prawdziwe pochodzenie tego małego dzieła sztuki.

3.

Mandar Uus to jego jakuckie nazwisko, pod którym jest tu powszechnie znany, choć urzędowo zwie się Borys Fiodorowicz Nieustrojew. Dziś dobiega siedemdziesiątki, ale zachował wiele z wcześniejszej sprawności krzepkiego, krępego ciała, o którego zdumiewających wyczynach, takich jak dźwiganie niewyobrażalnego ciężaru, opowiada bez słyszalnej przechwałki. A przede wszystkim ma ujmujący sposób bycia, tę nienarzucającą się otwartość i niemęczącą rozmowność, którą od pierwszego zdania zjednuje sobie bez reszty słuchacza.

O opowieść nie trzeba go długo prosić, należy też być gotowym, że potrwa ona, z niezbędnymi tylko przerwami, nawet trzy dni. To niebywałe, skąd u tego nieuczonego człowieka taki dar wymowy. Ma też o czym opowiadać. Spokojnie, miarowo wspomina, jak jeszcze do niedawna wyprawiał się na dwu-, trzymiesięczne samotne wędrówki po tajdze. Ba, w znacznej części były to bezustanne biegi na wytrzymałość, w których pokonywał trasy kilkusetkilometrowe. Wychodził bez żąd-



Mandar, fot. Jerzy S. Wasilewski.

nej broni, bez zapasów pożywienia, żywiąc się tylko zbieranymi i podsuszonymi po drodze korzeniami traw. Wędrował nawet bez zapalek, nigdy nie palił ognia i unikał źródeł wszelkich ludzkich zapachów, w przekonaniu, że zdradzi go to przed czworonożnymi mieszkańcami tajgi.

Kiedy się go słucha, nieodparcie nasuwa się angielski idiom *larger than life*. Mandar nie tylko przebiegł, niczym jakiś syberyjski Forrest Gump, tysiące kilometrów tajgi, ale robił tam obserwacje i rysunki tego, co widział i przemyślał, przetworzył to w różne składniki bogatej osobowości, a teraz wykorzystuje i przekazuje na wszelkie sposoby. Tych opowieści trzeba słuchać z jego ust, w jego domu. Nie jestem w stanie przenieść owego nastroju zadumy, jaki ten niewielkiego wzrostu i cichego obejścia człowiek potrafi stworzyć swym miękkim głosem. Mówi o tym, jak to po dniach wstępnej adaptacji (tu dowiadujemy się nawet, jak w miarę przechodzenia na pożywienie tajgi zmieniały się jego wypróżnienia) stawał się częścią przyrody i rozumiał jej głosy. Parokrotnie to właśnie mowa ptaków ostrzegała

go przed czekającym nieopodal niedźwiedziem – nieostrożne wyjście nań skończyłoby się niechybną śmiercią. Bo w tajdze, jak w sądzie – powiada – w sprawie o naruszenie jej praw to on jest prokuratorem.

Momentami granica między tym, czego rzeczywistość doświadczył, a co dla niego samego jest jakąś nierzeczywistą iluzją, zaciera się. Opowieść o tym, jak nocą zapada w ostrożny półsen, siedząc na gałęzi drzewa i patrząc na swoje czerwone tenisówki, z filmową czy literacką płynnością przechodzi w halucynacyjną wizję ubranych na czerwono zbrojnych jeźdźców w pochodzie, sunących wprost pod jego stopami – coś przeniosło go w historyczną przeszłość owego miejsca, a jego samego bierze strach, by jeźdźcy go nie dostrzegli.

Po takiej wyprawie długo trwa jego przyzwyczajanie się do cywilizacji. Na odległość słyszy cykanie czyjegoś zegarka, po zapachu jest w stanie natychmiast określić, czy ma do czynienia z kierowcą, traktorzystą czy pasterzem koni. Ma też Mandar niebywały wzrok, a ściślej uważność spojrzenia i pamięć szczegółu. Znakomicie rysuje, wykorzystując ten dar do utrwalania



Mandar, fot. Jerzy S. Wasilewski.

starych ornamentów, jakich resztki odnajdywał w czasie swych wędrówek po porzuconych *alasach* – dawnych samotnych gospodarstwach, opuszczonych przez mieszkańców, kiedy przesiedlano ich do kolchozowych wiosek. Na pozostawianych przedmiotach z drewna, skóry, włosów i czego tam jeszcze wypatrzył mnogość wzorów, utrwalił je na setkach kartonów. Oddał je potem wszystkie komuś ledwie znajomemu, wracającemu do Moskwy, z nadzieją na publikację. Zginęły bezpowrotnie. Ta dziecięca naiwność czy niefrasobliwość też do niego jakoś pasuje.

4.

Naiwność – naiwnością, ale dużą część takich kolorowanych szkiców udało mu się opublikować, kiedy nadrobił stratę niewiarygodnym uporem i gorliwością. Stale też dopracowuje swoje *opus magnum*: mistyczno-kosmogoniczny wywód na temat początków Wszechświata, dziwnie u niego zbieżnych z początkami Słowa (choć bez jakiejś czytelnej biblijnej inspiracji). Prezentuje go w wersji słowno-obrazowej, dopełniając komentarzem kolejno pokazywane ryciny, niefiguratywne, ale nader przemyślane. W jakiejś pozaziemskiej przestrzeni przenikają się wiązki linii, rysowane cieniutką kreską, tworzące elipsoidalne kształty, niby kosmiczne trajektorie. Więcej w tych wypowiedziach indywidualnej spekulacji, opartej na treściach o popularnonaukowym rodowodzie, niż jakiejś tradycyjnej wiedzy mitologicznej, ale Mandar wszystkie swoje przeświadczenia wspiera autorytetem niepodważalnym: „Tak wierzyli nasi jakuccy przodkowie”. Uznajmy go za reprezentanta XXI wieku w galerii takich wcześniejszych od niego postaci, jak dogoński mędrzec Ogotemmeli z relacji Marcela Griaule’a albo renesansowy bohater *Wizji świata pewnego młynarza z XVI wieku* z opracowania Carlo Ginzburga *Ser i robaki*. Nie mogę się też oprzeć skojarzeniu go z groteskowym, po trosze nikiforowatym rzeźbiarzem, mistrzem Fufajką z pierwszych powieści Piotra Wojciechowskiego.

Etnografowie jakuccy (nie uogólniając – niektórzy) Mandara nie cierpią. To wybryk. Prawi o rzeczach, których nigdy w tradycyjnej kulturze nie było,

wprowadza je do wymaginowanego dziedzictwa. Trzeba bowiem powiedzieć, że jest osobą powszechnie znaną. Portretują go artyści – wierną podobiznę można zobaczyć w Internecie. Przed kilkunastoma laty był w Warszawie wraz z całą ministerialną delegacją – Republika Sacha–Jakucja wybijała się wtedy na niezależność, nawiązywano kontakty ze światem, przynajmniej te naukowo-kulturalne. Przed pomnikiem Chopina w Łazienkach spędził dwie godziny, zapłakany ze wzruszenia.

Udziela się społecznie – źle to brzmi, bo nie oddaje charakteru jego posłannictwa: jeździ po aresztach całego kraju z sugestywnymi prelekcjami (choć przecież wygłaszanymi tym samym spokojnym, aksamitnym głosem) o szkodliwości picia; sam jest abstynentem, a nieczęsta to rzecz w tamtych stronach. Kiedy skończy wypowiedź, na sali zapada cisza, wszyscy siedzą nieporuszenie przez kilkanaście minut, a potem większość słuchaczy – jak donosi mu w listach naczałstwo – naprawdę rzuca alkohol.

Ostatnio założył też w swojej miejscowości szkołę kowalstwa dla dzieci, gdzie – jak sam mówi – pod jego wpływem w dwa tygodnie zmieniają się nie do poznania. Nielatwo jest wykuć np. drumlę – z pozoru prosty instrument muzyczny: wygięty w kabłąk stalowy pręt, przykładany do zębów, szarpany za tkwiący pośrodku języczek, rezonuje w rozchylonych ustach charakterystycznym wibrującym dźwiękiem. Tyle tylko, że źle wykuta drumla będzie powodować wypadanie zębów grającego.

5.

Pora zdradzić, że na życiowy autorytet i kowalską wiedzę Mandara złożyły się bardzo różne epizody. W młodych latach służył na radzieckiej atomowej łodzi podwodnej, działającej na Pacyfiku; dosłużył się stopnia podporucznika, świata może wiele nie zobaczył, tyle co przez peryskop, ale i tam formowały się jego techniczne zainteresowania i doświadczenia. Wcale się nie dziwię, kiedy na jego półce z książkami dostrzegam egzemplarz podręcznika obróbki stali, opatrzone wszystkimi precyzyjnymi tabelami.

Mandarowa technologia hartowania ostrza myśliwskiego noża z dokładnością do pół sekundy wzięła się nie tylko z wielowiekowych tradycji jakuckich przodków.

* Tekst jest zmienioną wersją wystąpienia *Człowiek niezwykły w społeczności lokalnej*, przedstawionego wraz z filmem na zakopiańskiej konferencji.